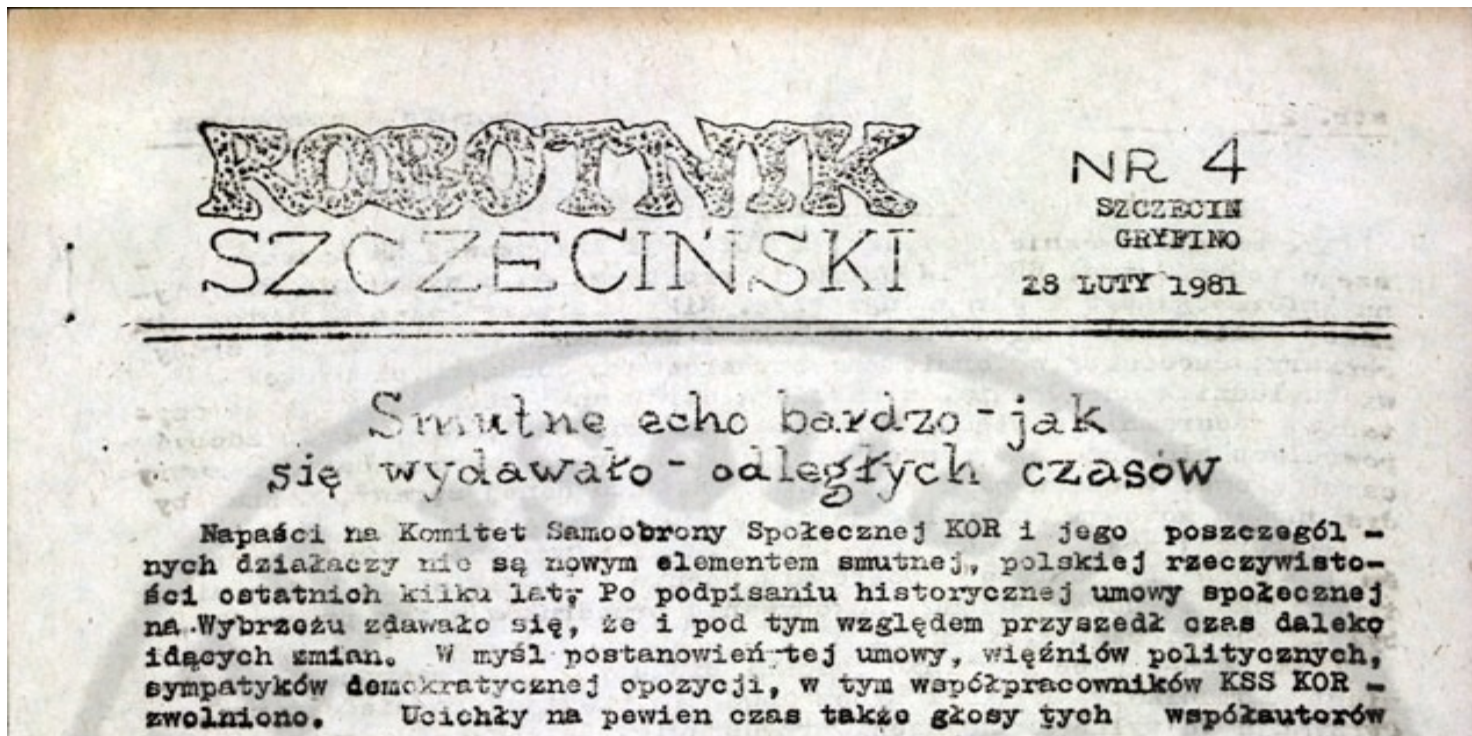


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/opozycja-w-prl/53884,Wolne-Zwiazki-Zawodowe-Pomorza-Zachodniego.html>



ARTYKUŁ

Wolne Związki Zawodowe Pomorza Zachodniego

OKRES HISTORYCZNY

(1970-1980) Od Gdańska do Gdańska

Autor: MARTA MARCINKIEWICZ, STEFAN K.
KOZŁOWSKI, 30.04.2022

Historia szczecińsko-gryfińskich WZZ ma raczej słodko-gorzkie zakończenie. Choć pod koniec lat siedemdziesiątych środowisko to wiele zrobiło dla wzrostu

świadomości robotników w regionie, to w sierpniu 1980 r. działacze WZZ nie zostali dopuszczeni do udziału w strajku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego.

Deklarację Założycielską WZZ Pomorza Zachodniego z 11 października 1979 r. podpisało dziesięć osób ze środowiska szczecińskiego i gryfińskiego: Kazimierz Dobosz, Danuta Grajek, Andrzej Kamrowski, Tadeusz Kociołowicz, Stefan Kozłowski, Bronisław Modrzejewski, Jan Paprocki, Zdzisław Podolski, Jan Witkowski i Mirosław Witkowski. W gronie tym nieformalnymi liderami byli Jan Witkowski i Stefan Kozłowski.

Współpraca z KOR, ROPCiO i działaczami robotniczymi

Spotykali się z przywódcami warszawskiego Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz działaczami środowisk robotniczych na Śląsku i Wybrzeżu: Bogdanem Borusewiczem, Andrzejem Gwiazdą, Anną Walentynowicz, Lechem Wałęsą i Krzysztofem Wyszowskim, czerpiąc z ich doświadczeń. Działalność Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego (WZZ PZ) była ukierunkowana na podnoszenie świadomości robotników, szczególnie w odniesieniu do ich praw. W tym celu kolportowano prasę drugoobiegową w środowiskach robotniczych Szczecina i okolic, przypominano o ofiarach Grudnia '70, organizowano akcje ulotkowe i plakatowe, uroczystości patriotyczne oraz spotkania ze znanymi działaczami opozycyjnymi, m.in. z Jackiem Kuroniem, Janem Lityńskim, Antonim Macierewiczem, Bogumiłem Studzińskim, Kazimierzem Wóycickim i Henrykiem Wujcem oraz publicystą Stefanem Kisielewskim. Ludzie WZZ PZ weszli w skład redakcji warszawskiego „Robotnika”. W marcu 1979 r., wraz z redakcją warszawską, przygotowali szczecińskie wydanie tego pisma, podając swoje nazwiska i adresy do publicznej wiadomości. W kolejnych miesiącach stworzyli własne pismo „Robotnik Szczeciński”. Oprócz tego współtworzyli projekt Karty Praw Robotniczych oraz wspierali inne inicjatywy. Sporo, jak na niepełne dwa lata działalności.

Na działaczy WZZ PZ bardzo szybko spadły represje. Archiwalia po byłej bezpiece nie pozostawiają złudzeń co do stopnia zinfiltrowania grupy. „Koper”, „Ryszard”, „Pająk”, „Konstancja”, „Klaudiusz”, „Albin” – to tylko niektóre z pseudonimów pojawiających się w źródłach.

Choć było to niewielkie, zaledwie kilkunastoosobowe środowisko, mieli w różnych zakładach pracy liczne grupy współpracowników. Byli w tym gronie ludzie cieszący się autorytetem, mający za sobą nie tylko udział w wydarzeniach z grudnia 1970 r. i stycznia 1971 r. w Szczecinie, lecz również, jak w przypadku Krystosiaka i Lisowskiego, działalność w Armii Krajowej i doświadczenie stalinowskich więzień.

Pozornie wydaje się, że inicjatywa nosiła wszelkie znamiona sukcesu. To, czego – poza Gdańskiem i Śląskiem – nie udało się zbudować w innych miastach w Polsce, udało się stworzyć na Pomorzu Zachodnim. Co zatem poszło nie tak?

Infiltracja i działania dezintegracyjne SB

Na działaczy WZZ PZ bardzo szybko spadły represje. Archiwalia po byłej bezpiece nie pozostawiają złudzeń co do stopnia zinfiltrowania grupy. „Koper”, „Ryszard”, „Pająk”, „Konstancja”, „Klaudiusz”, „Albin” – to tylko niektóre z pseudonimów pojawiających się w źródłach. Dziś wiemy, że kryli się pod nimi m.in. Andrzej Kamrowski, Jan Paprocki i Jolanta Nowak. Dzięki ich gorliwości i lojalności praca SB w tym środowisku wydawała się wyjątkowo prosta – bezpieka kontrolowała znaczną część aktywności związkowców, co pozwalało jej podejmować próby dezintegracji młodych działaczy, kompromitowania ich w środowisku oraz podważania wzajemnego zaufania. Jak wynika z zamieszczonego poniżej wywiadu ze Stefanem Kozłowskim, były to przedsięwzięcia w znacznym stopniu udane.

Historia szczecińsko-gryfińskich WZZ ma raczej słodko-gorzkie zakończenie. Choć pod koniec lat siedemdziesiątych środowisko wiele zrobiło dla wzrostu świadomości robotników w regionie, to w sierpniu 1980 r. działacze WZZ nie zostali dopuszczeni do udziału w strajku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy obawiał się, że obecność prasy drugoobiegowej oraz osób związanych z KSS KOR uczyni strajk politycznym (sic!).

Witkowskiego nie wpuszczono na teren stoczni, a dostarczone duże ilości „Robotnika” spalono. Po latach Witkowski uzasadniał to tym, że w stoczni mieli zaledwie kilku współpracowników. Mimo to starali się wspierać strajkujących, przekazując informacje o sytuacji w Szczecinie zachodnim korespondentom, których również nie wpuszczono na teren stoczni.

Poderwanie Stoczni Szczecińskiej do strajku

Należy jednak pamiętać, że znaczącą rolę w początkowej fazie strajku odegrał blisko współpracujący z Kozłowskim i Witkowskimi Aleksander Krystosiak, pracownik Stoczni Remontowej „Parnica”, która

zastrajkowała jako pierwsza. To on 18 sierpnia 1980 r. z grupą współpracowników WZZ (m.in. Kozłowski i Jakubcewiczem) popłynął Odrą, łodzią, na teren Stoczni Szczecińskiej, by poderwać robotników do strajku. Mieli ze sobą przygotowanych 18 kluczowych postulatów strajkowych, które stały się podstawą uchwalonych później 36 postulatów. Jednak Kozłowski nie został dopuszczony do odegrania większej roli w strajku, a wręcz utrudniano mu kontakt ze światem zewnętrznym. Na przykład kiedy dzwoniło do niego z Warszawy, aby uzyskać jakieś informacje, niezgodnie z prawdą informowano, że nie ma go na sali. Czynny udział w strajku mógł natomiast wziąć Aleksander Krystosiak, jako że nie wiązano go z WZZ PZ.

Kozłowski nie został dopuszczony do odegrania większej roli w strajku, a wręcz utrudniano mu kontakt ze światem zewnętrznym. Na przykład kiedy dzwoniło do niego z Warszawy, aby uzyskać jakieś informacje, niezgodnie z prawdą informowano, że nie ma go na sali.

Dzięki temu wygłosił on 21 sierpnia w świetlicy stoczniowej wykład na temat wolnych związków zawodowych dla przedstawicieli strajkujących zakładów pracy

Ludzie związani z WZZ: Jan Nowak, Józef Ignor i Mieczysław Lisowski zdecydowali o przystąpieniu do strajku w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej – zawiązali komitet strajkowy i również przygotowali postulaty.

Oficjalna obecność WZZ PZ w Stoczni Szczecińskiej czy udział w negocjacjach z przedstawicielami władz zapewne nie wpłynęłyby znacząco na przebieg strajku. Niemniej jednak, choć sami działacze twierdzą, że nie mają żalu o odsunięcie ich od głównego nurtu wydarzeń w tak ważnym momencie historycznym, historia nachodzi raczej gorzka refleksja.¹



Stefan K. Kozłowski. Fot.
Wikimedia Commons



Mirosław Witkowski. Fot.
www.encysol.pl



Jan Witkowski. Fot.
www.encysol.pl



Aleksander Krystosiak. Fot.
www.encysol.pl

Rozmowa ze Stefanem K. Kozłowskim,² współzałożycielem Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego (8 II 2018 r.)

Czy źródłem pana zaangażowania był dom rodzinny?

Od dawna się nad tym zastanawiam i nie doszedłem do żadnej konkluzji. Na pewno moja matka, która jest osobą krytycznie nastawioną do świata, taką bardzo refleksyjną. Myślę, że to miało na mnie duży wpływ. Pewien wpływ miał też ojciec, który urodził się k. Nowej Wilejki, niedaleko Wilna. Przeżył najazd Armii Czerwonej, później był w Niemczech na robotach – dużo nie mówił na ten temat. Po wojnie został w Niemczech, tam poznał moją matkę. Ona jest Niemką, więc miałem dom polsko-niemiecki. Do Polski przyjechali w 1956 r., kiedy miałem rok. Ważne były też lektury szkolne, w latach sześćdziesiątych jeszcze sporo literatury było dostępnej. Później to już było samokształcenie i własne poszukiwania.

Jak nawiązał pan kontakt z opozycją?

To było w 1978 r. Przyjaźniłem się z Andrzejem Jakubcewiczem i z Tadeuszem Kocietowiczem, moim sąsiadem. Razem żeglowaliśmy. Najpierw zaczęliśmy chodzić do PAX-u. To było nawet dosyć interesujące, ale jednocześnie zastanawialiśmy się, co moglibyśmy sami zrobić w Szczecinie. Pewnego dnia wybraliśmy się z Andrzejem do Warszawy, tak na ślepo. Mieliśmy z Wolnej Europy adresy i numery telefonów do działaczy opozycji, więc nie było problemu. Pojechaliśmy do Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, do Jacka Kuronia, później dostaliśmy kontakt do Henryka Wujca, do Jana Lityńskiego. Odwiedziliśmy Kazimierza Janusza, trafiliśmy też do Wojciecha Ziemińskiego, ale jakiś taki był niesympatyczny, więc szybko sobie poszliśmy. Zawsze coś dostaliśmy: „Komunikat KOR”, pierwsze numery „Robotnika”, „Opinię”, nawet nie tak mało. „Opinię” dostawaliśmy także w Szczecinie, od Grzesia Prątnickiego. Później do mnie w Szczecinie też tak ludzie przychodzili. Wszystko na tym polegało, że było otwarte, jak ktoś chciał, to proszę bardzo, a że czasem pojawił się prowokator czy agent, to było wkalkulowane. To była cena za otwartość. Tak to się zaczęło. Zaczęliśmy z Andrzejem Jakubcewiczem przywozić literaturę i kolportować ją w Szczecinie.

W tym czasie pracował pan w szczecińskim „Polmo”, z którego wkrótce pana zwolniono...

Wyszedłem z wojska i skończyłem wieczorowe liceum dla pracujących. Ponieważ kolportowałem w zakładzie pracy literaturę, zwolniono mnie w 1979 r. za porozumieniem stron. Taką mi złożono propozycję. Robiłem wtedy różne akcje, np. w szatniach rozkładałem „Robotnika”. Myślę, że chciano uniknąć rozróby. Jeszcze w 1978 r. dostałem z Warszawy plakaty na rocznicę Grudnia '70 i rozkleiłem je w Szczecinie. Rozwiesiliśmy je z moją grupą w tramwajach i autobusach. Wtedy miałem rewizję, SB się zaktywizowała i rozbiła mi tę grupę.

Łatwo znajdował pan odbiorców bibuły?

Jak przywoziłem książki z NOW-ej, to było proste – książki były najciekawsze: Sołżenicyn, „Kurier z Warszawy”

Jana Nowaka-Jeziorańskiego... To były ciekawe rzeczy, które można było zaproponować bez narażania się, że próbuje się kogoś agitować czy prowokować. Literatura była najłatwiejsza do działania, wzbudzenia zainteresowania i przełamania lodów.

Wkrótce został pan jednym z liderów Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego. Jak doszło do spotkania pana z braćmi Witkowskimi?

Janek działał w Gryfinie, organizował protesty w Elektrowni „Dolna Odra” przeciwko sowieckim rakietom SS-20. W Warszawie dostałem ich adresy. Spotkaliśmy się kilka razy, mieliśmy dobry kontakt. Wszystko było w porządku, aż do pewnego spotkania u mnie. Był wtedy Andrzej Jakubcewicz ze swoją przyjaciółką, późniejszą żoną, była Jolanta Nowak, byli Witkowscy. Może ktoś jeszcze, ale nie było dużo ludzi. Zaproponowałem, żeby zorganizować Radę Szczecińską czy coś takiego... Zależało mi, żebyśmy przybrali jakąś formę organizacyjną. Uważałem, że ona musi być, bo inaczej to będzie partyzantka, która szybko przestanie funkcjonować. Wtedy też Andrzej Kamrowski bardzo się zaktywizował. Po tym spotkaniu wszystko zaczęło źle iść, coś ewidentnie zaczęło się psuć. Zaczęło się rozjeżdżać...

Ale co konkretnie?

To trudno uchwytne. Miałem wrażenie, jakby Mirek zaczął nas unikać, niby chciał z nami współpracować, ale jednocześnie nie chciał... Zaczął trochę na własną rękę działać, Janek też, i w ogóle nie było wiadomo, co będzie. Mimo że początkowo byli bardzo otwarci, chcieli, żebyśmy ściśle współpracowali, nagle, gdy zamierzaliśmy nadać temu jakieś ramy, wkradła się duża dysharmonia. Później była duża wpadka w Stoczni Warszawskiej. Janek miał tam dobre kontakty, o których ja zresztą przed tym nawet nie wiedziałem, no ale zdarzyła się ta wpadka. Później dowiedziałem się, że Kamrowski jeździł do Warszawy i na mnie coś gadał... Ale ja tego nie słuchałem. Chodziło mi o to, żeby działać, coś robić, by w końcu ruszyć z miejsca, a nie zajmować się pomówieniami. Nigdy mnie nie interesowały takie rzeczy, jakieś pretensje. Ale to dotarło do mnie po latach.

Dzisiaj wiemy, że miał w tym do odegrania swoją rolę Andrzej Kamrowski.

Nie mam wątpliwości. Bardzo zaprzyjaźnił się z Witkowskimi, mówiło się, że Kamrowski zajmuje się właśnie Stoczną Warszawską. Chłopaki mówili, że mają tam kontakty, więc dałem temu wiarę i stocznę zostawiłem w spokoju, miałem swoje środowisko, więc to i tak byłoby nadto. Ale już wtedy wydawało mi się to bardzo dziwne. Tam doszło do dużej wpadki, po której ludzie mieli trochę problemów, były rewizje, straszenia... W którymś z „Robotników” albo „Komunikatów KOR” były na ten temat informacje, stamtąd się o tym

dowiedziałem. Nigdy nie poznałem tych ludzi ze stoczni, ale to było dziwne.

Jednak w październiku 1979 r. wspólnie podpisali państwo Deklarację Założycielską WZZ Pomorza Zachodniego. Podpisało ją dziesięć osób z tzw. środowiska szczecińsko-gryfińskiego.

Nie wszyscy, którzy z nami współpracowali, ją podpisali; i słusznie, bo mogli dzięki temu działać anonimowo. Bronisław Modrzejewski był z WPKM, strasznie oberwał i wcześniej wyjechał, gdzieś w 1980 r., chyba jeszcze przed strajkami... Był bardzo postrzelony, ale tak go nacisnęli, że wyjechał do Niemiec. Kazimierz Dobosz to był mój kontakt na Police. Mieszkał w Trzebieży, ale miał kontakty w Zakładach Chemicznych „Police”, tam pracował jego syn. Jakoś do końca nie potrafiłem go rozgryźć – z jednej strony taki pistolet, z drugiej bardzo ostrożny. Ale brał literaturę i był bardzo pożyteczny. Wtedy gdy tworzyliśmy WZZ, parłem do tego, żeby jak najwięcej ludzi podpisało deklarację. Wydawało mi się, że to ważne. Ale to nie wyglądało tak, że zebraliśmy się w jednym miejscu wszyscy i podpisaliśmy. Poprosiłem Dobosza, Modrzejewskiego, Jana Paprockiego, który moim zdaniem też był TW.

To dzisiaj nie jest już tajemnicą.

Parę razy wpuścił mnie w kanał, ale ja jego też wpuściłem. Na przykład drukowaliśmy razem plakaty na Grudzień '70. On się bardzo upierał, żeby zostały u niego w domu, ale ja, wychodząc o trzeciej w nocy, zabrałem je, nic mu nie mówiąc. Dałem kierowcom z WPKM i oni je podrzucali w autobusach i tramwajach. Takie rzeczy robiłem, no ale co miałem robić, skoro zdawałem sobie sprawę, że coś nie grało... Grałem więc też swoją grę.

I nie miał po tym do pana pretensji? To się dało jakoś wytłumaczyć?

Miał do mnie pretensje, ale ja mówiłem, że miałem jakieś terminy czy coś i że się spieszyłem. Coś tam opowiadałem, on udawał, że mi wierzy... Co miał zrobić, skoro miał takie zadanie? Ale niedługo potem zerwałem z nim kontakt.

A kierowcy z WPKM chętnie angażowali się w takie akcje?

Tak, podrzucali różne rzeczy w zakładzie i na siedzenia pojazdów. Byli ostrożni, co mi się podobało. Działali tak, żeby ich nie nakryli. W końcu każdy z nich miał rodzinę, dosyć dobrze zarabiali, więc ostrożnie, ale działali, nie bali się. Byli dobrze zorganizowani i zawsze można było na nich liczyć. Mój ojciec pracował w

WPKM. Wtedy od kilku lat był już na rencie, ale dzięki niemu ja nie byłem anonimowy. Tam byli Nowak, Lisowski, Ignor... Kilka razy byli u mnie w domu, rozmawiali z ojcem, łatwiej mi było ich przekonać do tego, że to jest w porządku. A ponieważ mój ojciec miał dobrą opinię, to byli na mnie otwarci.

Czy równie łatwo było przeniknąć do innych środowisk robotniczego Szczecina?

Jak nawiązałem kontakt w WPKM, to oni już bardzo szybko sami się tam zorganizowali. Dawałem im bibułę, ale już trzymałem się obok, żeby ich nie spalić. Później był u mnie Krystosiak ze Stoczni Remontowej „Parnica”, z nim też miałem bardzo dobry kontakt. On był bardzo ostrożny, bo kilka lat siedział w więzieniu stalinowskim, ale o tym dowiedziałem się później. Dzięki niemu zorganizowało się środowisko w „Parnicy”. Tam był jeszcze radca prawny Mieczysław Gruda. Zbyszek Jakubcewicz miał z nimi kontakt, podtykał im literaturę. Rozmawiałem na ten temat z Krystosiakiem, że będą robić swoje, ale tak, żeby się nie zdekonspirować. Tak działali. Taka była taktyka, zarówno z WPKM, jak i z Doboszem na „Police”. I w porządku, na tym to polegało. Brali, co trzeba, i kolportowali. Miałem też jakieś kontakty do „Selfy”, ale nie wchodziłem tam z butami, tylko dawałem bibułę i ludzie już sami działali.

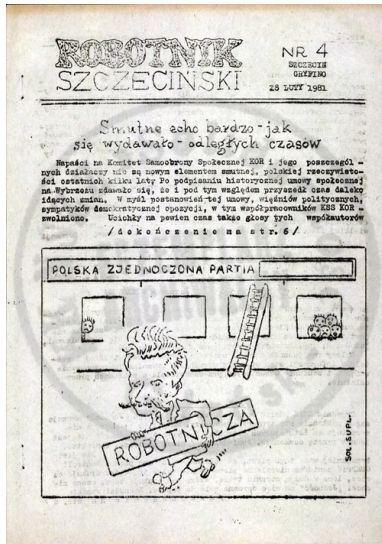
Czyli mamy Stocznnię Remontową „Parnica”, mamy WPKM, mamy „Police”, „Polmo”...

W „Polmo” nie szło tak dobrze. Próbowałem zaprzyjaźnić się z jednym człowiekiem, wziął ode mnie parę razy bibułę, ale jak zaczął opowiadać, że odwiedził go jakiś funkcjonariusz kontrwywiadu, że dostanie paszport, będzie mógł wyjechać do Szwecji, do pracy, to nie było już o czym rozmawiać. Wydaje mi się, że strasznie tego „Polmo” pilnowali. Miałem wtedy wrażenie, że gdy tylko czegoś się tam dotknąłem, z kimś się spotkałem, to zaraz coś się działo. Dałem więc sobie spokój. Uważałem, że lepiej robić coś pewnego z WPKM czy z „Parnicą”, czyli tam, gdzie to miało sens. Podchodziłem do tego dość pragmatycznie.

Państwa środowisko działało dość niezależnie od siebie, nie znając swoich kontaktów, co rozumiałe, ale przecież także wspólnie – wydając „Robotnika Szczecińskiego”...

Z tym „Robotnikiem Szczecińskim” to tak się podzieliliśmy, że Witkowsky go drukowali – bardzo chcieli to robić. Ale mieli przy tym wpadkę za wpadką. W końcu wydrukowali. Myślę, że Kamrowski miał takie bojowe zadanie, żeby pilnować Witkowskich i ich dezintegrować, podpuszczać... Nagle bardzo dużo energii zaczęło kosztować, aby osiągnąć jakieś porozumienie między nami. Z jednej strony znaleźliśmy się już ponad rok i dosyć regularnie się spotykaliśmy, ale w pewnym momencie zaczęło to być jak takie męczące wchodzenie po schodach. Myślę, że Nowak miała też duży wpływ na Mirka, ale przede wszystkim Kamrowski – on nim manipulował, podpuszczał go.

Mirek był bardzo lojalny, a to byli właściwie przyjaciele. Ja sobie zdawałem sprawę, że coś nie gra. Wobec mnie Kamrowski był bardzo zamknięty, nigdy nic nie mówił, nie wiem, co myślał. Uważam, że torpedował to środowisko i dezintegrował. Mieliśmy już dosyć silną grupę – i nagle następują rewizje, zatrzymania, różne takie sytuacje... Tych przeszkód było za wiele. Jeździłem do nich, rozmawialiśmy, spotykaliśmy się, ale to wszystko jakies takie było bez konkretów, że zacząłem działać sam.



„Robotnik Szczeciński”. Fot.
www.wszechnica.solidarnosc.org.pl

Czy panu nie ufali?

W pewnym stopniu tak, ale uważałem, że to nie jest mój problem. Z Paprockim też miałem taką sytuację... Nie postąpiłem ładnie, ale wtedy musiałem tak postąpić... Zawiozłem go do leśniczówki w Jasienicy koło Polic, tam ktoś ukrywał bibułę. Chciałem go sprawdzić, więc mu o tym powiedziałem – i tam od razu była rewizja. Więc dałem sobie z nim spokój i go odsunąłem.

Z tego, co pan mówi, wynika smutna refleksja, że to nie było jednolite środowisko...

Nie było.

Zatem zasadne będzie pytanie o to, czy przed sierpniem 1980 r. szczecińsko-gryfińskie WZZ jeszcze się rozwijały, czy raczej już się zwijały?

Nie miałem wrażenia, żeby WZZ się rozpadały, ale jak mi coś nie grało, to szedłem swoimi ścieżkami. Zresztą obecność agentów przy takich działaniach była czymś naturalnym, taki był porządek tego systemu. Przy tych wszystkich kontaktach, które mieliśmy w szczecińskich zakładach, uważałem, że i tak to wygląda dobrze. Wyszła Karta Praw Robotniczych, to było bardzo ważne. Dużo zdrowia kosztowało mnie, żeby ona wreszcie powstała, około roku jeździłem w tej sprawie do Warszawy.

To powstawało w środowisku robotniczym, Irena Wóycicka brała udział, trochę Lityński, Wujec, Helena Łuczywo była bardzo zaangażowana. Były spotkania redakcyjne i ciągle bombardowałem w tej sprawie, ponieważ jak się rozmawiało z robotnikami z zakładów pracy, to oni zawsze pytali o jakiś program, chcieli coś mieć w ręku... To było ważne, żeby mieć jakąś platformę. Może byśmy wypracowali te formy wspólnego działania, może jeszcze by się udało, ale zaczął się sierpień 1980 r.

Udział w powstaniu Karty Praw Robotniczych, wydawanie „Robotnika Szczecińskiego”, kolportaż bibuły w ważnych zakładach pracy, plakaty rocznicowe w mieście, ulotki w tramwajach i autobusach... Trochę tego jednak było.

No tak, to było ważne. Wtedy nie dążyłem do tego, by to były jakieś spektakularne akcje, uważałem, że byliśmy za słabi. Najważniejsze było, że mieliśmy kontakty w zakładach.

I uważa pan, że dzięki temu środowisko szczecińskich robotników przed Sierpniem było już świadome swoich praw?

Jakaś część na pewno. Widziałem, że nie działamy w próżni, że jest dosyć duży odzew, widać było zapotrzebowanie na więcej. Jak ktoś do mnie przychodził, bo przeczytał mój adres w „Robotniku” albo usłyszał w Wolnej Europie, to czynił to z własnej woli, mimo że wiedział, że moje mieszkanie może być namierzone, że może go coś za to spotkać. To nie było tak, że ludzie walili drzwiami i oknami, ale od czasu do czasu ktoś przychodził, niekiedy pod jakimś błahym pretekstem, pytał o kogoś, kto wcale tam nie mieszkał...

Po strajkach sierpniowych pojawiły się głosy wśród prominentnych działaczy szczecińskiej Solidarności, że WZZ w Szczecinie w ogóle nie było widać. Mirosław Witkowski na łamach „Jedności” ripostował, że były, o ile ktoś chciał je widzieć. Ale kiedy nadszedł ten historyczny moment, do którego przygotowywaliście swoimi inicjatywami robotników, nie zostaliście wpuszczeni do stoczni; stwierdzono: „nie chcemy tu żadnych korowców”, „żadnej polityki”. Zupełnie inaczej niż w Gdańsku. A przecież miał pan niebagatelny udział w

początku strajku w Szczecinie, ponieważ rano 18 sierpnia popłynął pan motorówką z „Parnicy” wspólnie z Krystosiakiem, Grudą, Jakubcewiczem, Tadeuszem Popławskim na teren Stoczni im. Warskiego, by poderwać robotników do przerwania pracy. Chociaż „Gryfia” i „Parnica” były gotowe, pan upierał się, że musi się zacząć w Warskim. Pozwolono panu tam zostać, ponieważ ręczył za pana Krystosiak, który cieszył się autorytetem, ale z kolei jego nie utożsamiano z WZZ.

Myślę, że słyszał o WZZ każdy, albo prawie każdy, ale ludzie się bali. Pamiętali represje z lat pięćdziesiątych, 1970 rok, więzienia, wyrzucenie z pracy. Dla mnie to było naturalne, że się boją. Nawet jeśli nie chcieli działać, to ja i tak byłem zadowolony, gdy brali ode mnie prasę, czytali, kupowali książki... Zdawałem sobie sprawę z tego, że to, co propaguje KOR - praca od podstaw - nie jest bardzo popularne. Chodziłem też na inne spotkania w Szczecinie: był przecież Aleksander Hall, jak powstawał Ruch Młodej Polski, był Leszek Moczulski, jak tworzył Konfederację Polski Niepodległej, ale to nie do końca były poglądy, które mi odpowiadały. To były dość nierealne rzeczy, bez żadnego odniesienia do rzeczywistości. Komitet Samoobrony Społecznej KOR w największym stopniu reprezentował problemy robotnicze, społeczne. Organizacja Towarzystwa Kursów Naukowych, ruch wydawniczy, bez precedensu. To program w duchu helsińskim oraz szeroko pojętego humanizmu, również w nurcie chrześcijańskim, ale zgodnie z dobrą tradycją polskiej inteligencji.

Prawda, kierowcy z WPKM parli do strajku już wcześniej. W czwartek, w tygodniu poprzedzającym strajk, mieliśmy spotkanie na Basenie Górniczym i tam zapadła decyzja, że ruszymy dopiero ze stocznią, nie wcześniej. Uważałem, że stocznia musi zacząć i nie możemy wszczynać strajku bez niej. W każdym razie, jak znalazłem się w stoczni, zobaczyłem, kto tam jest, co mówi, to przestałem się dziwić temu stosunkowi do KOR. Przez dwa dni musiałem się ukrywać na jakimś wydziale, żeby mnie nie wyrzucili. Jak się uspokoiło i mogłem wrócić do świetlicy, to występowałem jako doradca WPKM, doradca Jana Nowaka i „Parnicy” Aleksandra Krystosiaka.

Wiedziałem, że były jakieś rozgrywki, ale nie chciałem się do tego mieszać. Dla mnie było istotne, żeby tam zostać. Wtedy jeszcze działały telefony, więc cały czas przekazywałem informacje o strajku do Warszawy, dzwoniłem do Kuronia i do Romaszewskich, podawałem postulaty, listy zakładów. Później linię zablokowali.

I nie miał pan żalu?

Jakoś specjalnie żalu o to nie miałem. Nie można mieć do ludzi pretensji o to, że są, jacy są, no trudno... Wiedziałem, że na sali są moi ludzie, Nowak, Krystosiak, Ignor. Miałem satysfakcję z tego, co się działo, i że tam jestem. Uważałem, że to idzie we właściwą stronę. Widziałem, że ten ruch jest już tak duży, że ma takie podłoże, że to już się nie przewróci. Jak słyszałem, jak Marian Jurczyk ripostował wicepremierowi Kazimierzowi Barcikowskiemu... to taki wytrawny polityk, a nie wiedział, jak ma zareagować. Uważałem, że nikt by tego lepiej nie zrobił. Pamiętam, że w trakcie strajku do stołówki przyszedł Stanisław Miśkiewicz [przewodniczący komitetu partyjnego w stoczni - M.M.], który powiesił hasło „Socjalizm - tak, wypaczenia - nie”.

Podobało się to hasło?

[Śmiech] Nikt nie zwracał na to uwagi. Każdy mógł sobie coś tam powiesić, nikogo to nie interesowało.

Kiedy powstała Solidarność, pan nie zaangażował się w jej działalność.

Nie, niespecjalnie. Byłem zmęczony. Naprawdę zmęczony.

Zupełnie nic?

Nic. To była działalność *stricte* związkowa i jakoś się w niej nie widziałem. Chciałem odpocząć. Nagle pojawiło się pełno ludzi, skąd? Nie znałem ich. Później w ogóle zaczęło się robić jakoś dziwnie. Nie wiedziałem, z której platformy wystartować, z którego miejsca... Jakoś nie bardzo to czułem.

A gdzie pan wtedy pracował?

W Ośrodku Żeglarskim w Trzebieży.

Służba Bezpieczeństwa o panu nie zapomniała, 13 grudnia został pan internowany. Działacze WZZ byli tymi, których przetrzymywano najdłużej.

Być może. Ja dość długo się ukrywałem. Jak wyszedłem na przepustkę, o którą postarałem się, mówiąc, że chcę załatwić sprawy paszportowe, to z niej nie wróciłem. Wydawało mi się, że siedzenie w Wierchowiu Pomorskim jest pozbawione sensu, że trzeba działać na zewnątrz. Chciałem się zorientować, co tam się dzieje. No ale ukrywanie się na zewnątrz też nie miało większego sensu, więc po kilku tygodniach zgłosiłem się na komendę i przewieziono mnie już do Strzebielinka.

W internacie z ludźmi z WZZ wydawał pan gazetkę „Wierchowo Njus”, więc nawet tam podejmowaliście wspólne działania...

No tak, znaleźliśmy się, wiedzieliśmy o co chodzi, mieliśmy wspólne doświadczenia. Myślę, że gdyby nie intensywne mieszanie „innych czynników” w WZZ, nasza działalność mogła się intensywniej rozwijać.

Tekst pochodzi z nr 4/2018 „Biuletynu IPN”

¹ Więcej na temat Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego zob. M. Paziewski, *Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego*, [w:] *Stan wojenny w skali kraju i Pomorza Zachodniego. Informacje źródłowe i refleksje*, red. M. Machałek i J. Macholak, Szczecin 2005, s. 311–353; *idem*, *Przedsierpniowa opozycja demokratyczna na Pomorzu Zachodnim*, [w:] *Między Warszawą a regionem. Opozycja przedsierpniowa na Pomorzu Zachodnim*, red. K. Kowalczyk, M. Paziewski, M. Stefaniak, Szczecin 2008, s. 77–86; „Chciałem zaangażować się w coś niezwykłego i nieszablonowego” – rozmowa Michała Siedziaki z Mirosławem Witkowskim, [w:] *ibidem*, s. 225–243; M. Marcinkiewicz, „Czasy nieracjonalnej jedności” – rzecz o Wolnych Związkach Zawodowych Pomorza Zachodniego, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2008, nr 4 (87), s. 37–47; M. Stefaniak, *Szczecińska droga do Solidarności. Przebieg i konsekwencje strajków sierpniowych w aglomeracji szczecińskiej*, [w:] *Czas przełomu. Solidarność 1980 1981*, red. W. Polak, P. Ruchlewski, J. Kufel, Gdańsk 2010, s. 323–347.

² Stefan K. Kozłowski (ur. 1955) – uczestnik grudnia 1970 r w Szczecinie. Od 1977 r. działał w ROPCiO, a następnie w KSS KOR. Kolporter niezależnych wydawnictw, członek redakcji „Robotnika” i „Robotnika Szczecińskiego”. W 1979 r. współzałożyciel WZZ Pomorza Zachodniego. Współautor Karty Praw Robotniczych. W sierpniu 1980 r. w strajku w Stoczni Szczecińskiej. Internowany w Goleniowie, Wierzchowie Pomorskim i Strzebielinku. W 1983 r. współtworzył podziemne pismo „Obraz”. Od 1984 r. na emigracji w RFN, skąd organizował pomoc dla szczecińskiego podziemia. Mieszka w Niemczech.

COFNIJ SIĘ